

---

## **RUINY WROCLAWIA**

### **Pionier \* Sprzedaż kiełbasy \* Szaberplac \* I Gimnazjum i Liceum \* Wyprawa do Gryfowa**

Wrocław w 3 miesiące po zakończeniu działań wojennych w mieście sprawiał przygnębiające wrażenie. Miasto było potwornie zniszczone. Nie zauważyłem ani jednego budynku, który by nie miał śladów zniszczeń. W najlepszym wypadku, zwłaszcza na peryferiach, domy pozbawione były tylko oszklenia i dachówek na dachach. Śródmiejskie dzielnice, w większości całkowicie zniszczone i niezamieszkałe, straszyły zwałowiskami gruzów i kikutami domów, spalonych przez katusze i bombardowania lotnicze.

Ocalała tylko w jakichś 50-60 procentach dzielnica mieszkaniowa „Nadodrze” przy dworcu kolejowym „Wrocław Odra”, który zresztą wkrótce też nazwano „Nadodrze”. Tam też zamieszkiwała większość z pośród około 150 tys. Niemców, pozostałych w mieście i tych, którzy zdążyli powrócić z południowych terenów Dolnego Śląska, gdzie byli ewakuowani przed oblężeniem Wrocławia. Było już wtedy we Wrocławiu też prawie 10 tys. Polaków, przybyłych głównie z województwa poznańskiego i repatriantów zza Sanu. Ponieważ wkrótce, jeszcze w sierpniu, dokonałem odpowiednich czynności meldunkowych - więc zmieściłem się w tej grupie pierwszych dziesięciu tysięcy pionierów Polaków, którzy zamieszkali we Wrocławiu.

Wraz z moimi kolegami z Kępna mieliśmy dwie możliwości kontynuowania nauki. Pierwsza, to zapisanie się na rok zerowy Politechniki Wrocławskiej, a druga to nauka w Liceum Ogólnokształcącym, jakie powstawało przy ulicy Bismarckstrasse.

Rejon przyszłej Politechniki Wrocławskiej i Klinik Uniwersyteckich przy ulicy Curie-Skłodowskiej był poważnie zniszczony. Dopiero zaczynały się tam jakieś roboty remontowe, polegające głównie na łataniu ceramicznych dachów i szkleniu okien, gdzie to tylko było możliwe. Obiektów pilnowała, uzbrojona w karabiny, straż złożona z przyszłych studentów. Mieszkali oni tymczasowo w salach klinicznych, gdzie spali pokotem na podłogach. Mogliśmy być jednymi z nich. Lecz nie zdecydowaliśmy się na zerowy rok studiów, gdyż nie wiadomo było właściwie, jaki będzie program nauczania i czy zakończy się on maturą.

Poza tym Wrocławski Uniwersytet i Politechnika (nie było wtedy właściwie jeszcze oficjalnie mowy o odrębnej Politechnice) był dopiero w stadium organizacyjnym i termin rozpoczęcia nauki nie był jeszcze znany. Faktycznie inauguracja wykładów na uczelni miała miejsce dopiero 15 listopada 1945 roku.

Wybraliśmy więc wariant Liceum przy Bismarckstrasse (późniejsza ul. Księcia Józefa Poniatowskiego). Dyrektor, organizujący liceum, ucieszył się bardzo, że przybyła mu grupa siedmiu, a wkrótce prawie dwudziestu świeżych absolwentów gimnazjalnych z Kępna. Bowiem w kolejnych tygodniach dołączali do naszej pionierskiej grupy dalsi nasi koledzy i koleżanki. Z wieloma się serdecznie przyjaźniłem, należeli do nich: W. Antkowiak, J. Hendrysiak, St. Kurzawa, B. Kaczmarek, Z. Łagodziński, E. Noculak, E.



**Ruiny Wrocławia 1945 r.**

Nycz i T. Rajski.

Wraz z kolegami, Tadeuszem Rajskim i Bronisławem Kaczmarkiem, wynajęliśmy dwa pokoje w mieszkaniu autochtonki Polki przy ul. Piastowskiej 28, niedaleko Placu Grunwaldzkiego. Do nowego roku szkolnego było jeszcze kilka tygodni.

Tymczasem zacząłem krążyć między Wrocławiem i Kępnem w celach handlowych. Mianowicie woziłem kielbasę na sprzedaż w sklepach spożywczych we Wrocławiu. Zaopatrywałem się w świeżą kielbasę raniutko u rzeźnika w Bralinie, niedużej miejscowości, odległej ok. 6 kilometrów od Kępna. Przywoziłem rowerem zwykle walizę kielbasy, to jest prawie 20 kilogramów. Tego samego dnia jechałem z tą walizą pociągiem do Wrocławia. Nie było wtedy normalnych rozkładów jazdy. Czekano się więc niekiedy dość długo na stacji i jechało pierwszym pociągiem wprost przez Oleśnicę, dłuższą trasą przez Namysłów, lub nawet okrężną drogą przez Kluczbork. Bywało, że na stopniach wagonu, albo zgola na dachu. Ale tak się wtedy jeździło.

We Wrocławiu obchodziłem kilka sklepów na pobliskich ulicach. Były to zwykle małe sklepiki, funkcjonujące prowizorycznie w parterach zrujnowanych budynków, zaś prowadzone były przez Niemców. Zaczynałem więc zawsze od pytania „Kaufen Sie Wurst?”.

Podczas jednej z takich wypraw, przesiadając się w Oleśnicy na pociąg do Wrocławia, kupiłem na peronie gazetę od chłopaka wykrzykującego: „Amerykanie zrzucili bombę atomową na Japonię”. Duża sprawa, hekatomba ofiar w Hiroszimie i nieprzewidywalne skutki polityczno-wojskowe na przyszłość. Wkrótce skończyła się również wojna w Azji. Trwała 14 lat, jeśli liczyć od napaści Japonii na Mandżurię w 1931 r.

We Wrocławiu funkcjonowało wówczas wielkie „centrum handlowe” na Placu Grunwaldzkim, nazywane przez wszystkich szaberplacem. Plac ten w ogóle powstał dopiero w trakcie oblężenia miasta w wyniku wyburzenia wielokondygnacyjnej zabudowy kilku ulic pomiędzy mostami Grunwaldzkim i Szczytnickim. Potrzebny był na urządzenie lotniska do ewakuacji dygnitarzy hitlerowskich i sztabów wojskowych. Podobno zdążył wystartować tylko jeden samolot. Przy budowie lotniska zginęło za to ponoć około 10 tysięcy ludzi od ostrzału artyleryjskiego i bombardowań z powietrza.

Na szaberplacu dokonywała się żywiolowa wymiana przeważnie towarów żywnościowych, przywożonych przez Polaków, na oferowane przez Niemców porcelanę, szkło, zastawy stołowe, sprzęt sportowy, muzyczny, elektrotechniczny, obrazy, dywany, odzież, zabawki itp. Wszystkie te transakcje odbywały się w warunkach bardzo prymitywnych, na gruzach, w błocie i kurzu, częściowo w prowizorycznych, drewnianych budach.

Targowisko było też rajem dla wszelkiego rodzaju cwaniaków, oszustów i złodziei. Też byłem ofiarą kilku zmówionych cwaniaczków, którzy wyłudziли ode mnie 500 złotych, pozorując zakład, a po fakcie rozplynęli się jak we mgle. Mimo „nalotów” milicji interes kwitł chyba ponad dwa lata.

W okresie 2-3 lat po wojnie bardzo dużą karierę zrobiło słowo „szaber”. Określano tak przywłaszczanie sobie przez Polaków porzuconego mienia niemieckiego i wywożenie go następnie do swego miejsca zamieszkania. Na takie grabieże na Ziemię Zachodnie wybierały się z terenów dawnego pogranicza, a nawet z centrum kraju, pojedynczo lub grupowo, tysiące rodaków, żądnych łatwych łupów i wzbogacenia się. Dlatego też Ziemię Zachodnie często potocznie nazywano wówczas „Dzikim Zachodem”.

Ten masowy szaber wiązał się oczywiście z wielu nadużyciami, wręcz bezprawiem, gdzie poszkodowanymi byli przede wszystkim ludność niemiecka, ale często także państwo polskie, które formalnie przejmowało ponemieckie zakłady przemysłowe, obiekty użyteczności publicznej, uczelnie, urzędy.

Stąd, oprócz szybkiego organizowania posterunków Milicji Obywatelskiej, dla ochrony różnych obiektów tworzono lokalne oddziały strażnicze. Tak było np. w przypadku wyższych uczelni wrocławskich, których pilnowali uzbrojeni, przyszli studenci. Często przejmowanie i zabezpieczanie różnych zakładów i obiektów miało formy zorganizowane i było wcześniej przygotowane w głębi kraju. Tak stało się właśnie w przypadku uczelni i przedsiębiorstw komunalnych Wrocławia, jakie zostały przejęte przez grupy operacyjne, sformowane wcześniej w Krakowie przez znanego działacza socjalistycznego Bolesława Drobnera, który później był wojewodą wrocławskim.

Publiczna komunikacja we Wrocławiu dopiero raczkowała. Pierwsza linia tramwajowa od dworca Nadodrze wzdłuż ulicy Nowowiejskiej do ul. Piastowskiej uruchomiona została dopiero w sierpniu. Jechałem krótki odcinek na stopniach pierwszego tramwaju, ozdobionego zielenią i kwiatami, przy dźwiękach orkiestry dętej, usadowionej w środku wozu. Mniej więcej w tym samym czasie dotarł na ul. Piastowską prąd z elektrowni miejskiej, zaś nieco później gaz. Tak więc w wynajmowanym pokoiku świece parafinowe mogliśmy zastąpić żarówkami elektrycznymi.

Inauguracja roku szkolnego rozpoczęła się we wrześniu z pewnym opóźnieniem. Uczniowie I Gimnazjum i Liceum we Wrocławiu pomaszzerowali na uroczyste nabożeństwo do jednego ocalałego kościoła przy dworcu Nadodrze. Szliśmy paradnie i dumni, jako uczniowie pierwszej średniej szkoły polskiej w polskim Wrocławiu. Wcale nas tak dużo nie było, gdyż klasy nie miały wtedy jeszcze pełnych stanów. Nabór nowych uczniów trwał potem jeszcze do grudnia, tak że na przykład, z naszej pierwszej klasy, liczącej w dniu inauguracji roku szkolnego 20 osób, powstały do końca roku dwie po 40 uczniów.

I znów zaczęła się forsowna nauka. Trzeba było w cztery miesiące przerobić cały roczny program. Mieszkałem niezbyt daleko od liceum, więc na lekcje chodziłem na piechotę.

Zajmowałem ze swym kolegą Tadeuszem jeden pokój z możliwością korzystania z kuchni i łazienki, które użytkowała przede wszystkim właścicielka mieszkania. Uczęszczaliśmy obaj do tej samej klasy, uczyliśmy się tego samego, ale w zupełnie innym rytmie. Ja przed północą kładłem się spać, z kuchni korzystałem minimalnie, w łazience zachowywałem się cicho. Mój kolega miał zupełnie inny charakter i był typowym „nocnym Markiem”. Uczył się często do rana i zachowywał się hałaśliwie, niezależnie od pory dnia. Potrafił nawet w nocy grywać na pianinie, które stało w przedpokoju. Mnie to nie przeszkadzało, bo zawsze twardo spałem, ale biedna właścicielka nie mogła często zasnąć i nieraz potem skarżyła się na mego współlokatora.

Oczywiście przez prawie cały czas nauki trudniłem się sprzedażą kielbasy. Trzeba było przecież z czegoś żyć. Jednakże do Kępna jeździłem już tylko jeden raz w tygodniu, w soboty. Oprócz walizy kielbasy na sprzedaż, przywoziłem też różne inne wiktuały z gospodarstwa rodziców do własnej konsumpcji. Ale, po prawdzie, to kielbasa była dla mnie wtedy podstawowym pożywieniem.

Uczyliśmy się w oparciu o stare przedwojenne podręczniki, gdyż nowych wydawnictw jeszcze nie było. Ponieważ i tych starych było bardzo niewiele, więc wykłady niektórych przedmiotów odbywały się metodą dyktanda. I tu drugie istotne zastosowanie znajomości przeze mnie stenografii. Po prostu notatki z tych wykładów pisałem szybko i dokładnie pismem stenograficznym. Nie mieliśmy też zeszytów. Do robienia notatek korzystaliśmy głównie z różnego rodzaju makulatury ponemieckiej, zadrukowanej czy zapisanej tylko jednostronnie. Ja, między innymi, miałem takie właśnie księgi finansowe, jakie znalazłem gdzieś w ruinach.

Ale raz udało mi się zdobyć całą walizę czystego, kratkowanego papieru w arku-

szach formatu A-4. Nabyłem go za kiełbasę w małym sklepiku z materiałami piśmieniowymi przy ul. Mōwenweg (późniejsza Partyzantów) na osiedlu Sępolno. Dotarłem tam wśród ruin po godzinnej wędrówce na piechotę. Właściciel sklepiku był Niemcem, widocznie udało mu się przechować jakiś zapas materiałów piśmiennych przez okres oblężenia miasta. Większość arkuszy odsprzedałem kolegom szkolnym, oczywiście z pewnym zyskiem.

Powoli zmieniał się krajobraz miasta. Kończono oczyszczanie a gruzu głównych ulic, zaś we wszystkich budynkach, nadających się do niedużego remontu, łatano dachy i szklono lub zabezpieczano okna dyktą. Znakomitą większość tych prac wykonywała ludność niemiecka w zorganizowanych grupach. Były to w większości kobiety oraz starsi, a raczej starzy mężczyźni. Wszyscy nosili białe opaski na lewym ramieniu. Młodzież oraz mężczyźni średnich roczników służyli wcześniej w armii i znajdowali się aktualnie jeszcze w obozach jenieckich.

Jesienną porą, wybrałem się do Gryfowa Śląskiego, leżącego na zachód od Jeleń Góry. Zamieszkali tam moi dwaj wujowie po repatriacji z rodzinnych Monasterzysk i zapraszali listownie do odwiedzenia ich.

Zamierzałem jechać przez Legnicę i tam przesiąść się na jakiś lokalny pociąg w kierunku Gryfina Śląskiego, bo tak wówczas nazywano Gryfów. Na stosowny pociąg czekałem już na Dworcu Głównym, który akurat uruchomiono. Po kilkugodzinnym oczekiwaniu, zabrałem się z tłumkiem, takich jak ja pasażerów, pociągiem towarowym. Jechaliśmy otwartym wagonem, zbici w gromadkę na środku, ponieważ bez przerwy siał deszcz, a ściany wagonu były czarne od pyłu węglowego.

O zmroku pociąg dowiółk się do Legnicy, po czym, po dłuższej chwili, oznajmiono pasażerom, że dalej nie pojedziemy, gdyż w wyniku ciągłych deszczów uległ uszkodzeniu prowizoryczny most kolejowy na Kaczawie. Zmoknięty, samotnie wybrałem się do miasta, które, podobnie jak Wrocław, było doszczętnie zburzone. Znalazłem jednakże jakiś hotel, podobno jedyny ocalały w mieście, i przespąłem się, wraz z pluskami, na pluszowej kanapie.

Rano ze swoją walizeczką udałem się za miasto na autostradę, ażeby skorzystać z powszechnego wówczas autostopu. Przyłączyłem się do grupki czekających już tam amatorów jazdy do Wrocławia. Dalszą podróż do Gryfina ocenilem bowiem jako nierealną. Zabrał nas ZIS wojskowy. Pierwszy raz w życiu jechałem z prędkością ponad 100 km na godzinę, trzymając się mocno ławki, żeby nie „sfrunąć” na szosę. W połowie drogi kierowca wyszedł z szoferki i pozbierał do swej furazerki od pasażerów pieniądze za przejazd. Mieliśmy je już przygotowane i odliczone, gdyż wszyscy zorientowani byliśmy o obowiązującej, acz nieformalnej taryfie. Można było zresztą płacić również papierosami lub bimbrem. Czerwoarmista zagrał też z kilku pasażerami w popularne „machniom?”. Gra-zabawa polegała na tym, że grający trzymali w dłoni, albo za plecami, jakieś dowolne, często przypadkowe rzeczy, które, na dany znak, wymieniali między sobą. W ten sposób można było wymienić się na jakiś niewiele wart drobiazg, ale można też było za kanapkę, lusterko, czy łańcuszek wygrać trofejny zegarek lub koleję bursztynową.

Zatrzymaliśmy się daleko przed rogatekami Wrocławia, gdzie rosyjska żandarmeria wojskowa kontrolowała przejeżdżające samochody. Wożenie przygodnych cywilnych podróżnych wojskowymi samochodami było oczywiście niedozwolone, co nie przeszkadzało zresztą, że proceder ten stosowany był powszechnie.

Za kilka dni ponowiłem próbę dotarcia do Gryfina. Tym razem jechałem na dachu normalnego wagonu pasażerskiego pociągiem osobowym z Dworca Świebodzkiego. Na swej trasie pociąg przejeżdżał pod licznymi wiaduktami i mostami. Przygodny sąsiad

dachowy powiedział mi, że dzień wcześniej na jednym z tych wiaduktów zabity został jakiś młody człowiek, stojący lekkomyślnie na dachu wagonu kolejowego.

W Jeleniej Górze jadący dalej pasażerowie musieli przemaszerować kilka kilometrów do innego pociągu, gdyż na trasie trwała odbudowa dużego mostu kamiennego, wysadzonego wcześniej przez Niemców. Przed kapitulacją zdążyli też oni ściąć wszystkie stalowe słupy trakcji elektrycznej na całej trasie kolejowej od Wrocławia do Jeleniej Góry. Ponowna elektryfikacja tej linii zrealizowana została później dopiero po kilkunastu latach.

Gryfín był cały, podobnie jak Jelenia Góra, Wałbrzych, Świeradów i wszystkie miasteczka Pogórza Sudetów, które Armia Czerwona zajęła już po kapitulacji Rzeszy. Moi wujkowie zdążyli się świetnie urządzić. Henryk, zgodnie ze swą profesją, prowadził zakład masarski, natomiast Zbyszek miał maleńki sklepik spożywczy. Tuż obok była czynna nieduża drukarnia, którą zaprezentował mi gościnny właściciel, Niemiec. Ponieważ miał on duże zapasy papieru, wpadłem na pomysł wykonania zeszytów dla mojej klasy. Kupiłem więc kilkaset arkuszy papieru kratkowanego, z jakiego, po przycięciu na format A-4, zostało wykonanych sto dużych zeszytów. Na kolorowych okładkach kazałem wydrukować wielkimi literami napis: „I GIMNAZJUM I LICEUM WE WROCŁAWIU”. Przy składaniu czcionek, oraz pracach przy gilotynie i na linotypie, sam pomagałem właścicielowi zakładu. Zeszyty te zabrałem w walizie do Wrocławia i sprzedałem potem w kilku klasach.



**Gryfów, Stan obecny**

Z nastaniem chłódów siedzieliśmy w szkolnych ławkach ubrani w płaszcze, bo ekipa remontowa, złożona ze starych Niemców, nie nadążała ze szkleniem okien. Zresztą chyba brak było też samych szyb, gdyż część otworów okiennych zatykano dyktą czy tekturą.

Nie mam specjalnych wspomnień, jeśli chodzi o naukę. Pamiętam jedynie, że raz z klasówki z polskiego dostałem obniżoną notę za napisanie łącznie przysłówka „przede wszystkim”. Od tego czasu wyczulony jestem na ortografię i staram się zawsze pisać poprawnie.

Program pierwszej licealnej został zrealizowany do końca stycznia. W dniu 30 stycznia 1946 r. otrzymałem świadectwo jej ukończenia w Państwowym Gimnazjum i Liceum we Wrocławiu i promocję do klasy drugiej. Po krótkiej lutowej przerwie wakacyjnej czekała mnie kontynuacja nauki w drugiej klasie licealnej we Wrocławiu. Ale stało się inaczej.